



## **Nie moja wojna**

«Not my war»

*by George Yurii Shevelov*

Source:

Karta (Karta), issue: 75 / 2013, pages: 32-49, on [www.ceeol.com](http://www.ceeol.com).

## JURIJ SZEWELOW

## NIE MOJA WOJNA



*Fot. Ukrainian Academy of Arts  
and Sciences in the U.S.*

(1908–2002) – ukraiński slawista, językoznawca, historyk literatury ukraińskiej. Jego rodzice pochodzili ze zrusyfikowanych niemieckich rodzin ziemiańskich, ojciec był carskim generałem (w 1916 roku rodzina za zgodą cara Mikołaja II zmieniła nazwisko z niemiecko brzmiącego Sznajder na Szewelow). W 1931 roku ukończył uniwersytet w Charkowie i rozpoczął pracę jako wykładowca, m.in. w Ukraińskim Komunistycznym Instytucie Dziennikarstwa. W 1939 roku obronił pracę doktorską i rozpoczął pracę na stanowisku docenta.



Charków, jesień 1941. Kolumna niemieckich żołnierzy na placu Dzierżyńskiego. Fot. bpk/BE&W

---

Charków, jedno z głównych miast Ukrainy Słobodzkiej – historycznego regionu w północno-wschodniej części dzisiejszej republiki – stał się w grudniu 1917, po nieudanej próbie dokonania bolszewickiego przewrotu w Kijowie, siedzibą sowieckiego rządu Ukrainy, wspieranego przez stacjonujące tu oddziały Armii Czerwonej. Do jesieni 1920, kiedy na Ukrainie ostatecznie umocniła się władza sowiecka, a działający w Kijowie od 1917 roku niezależny rząd Ukraińskiej Republiki Ludowej znalazł się na emigracji, Kijów przechodził z rąk do rąk (kolejno: ukraińskich, sowieckich, „białorusyjskich”, ukraińskich, znów sowieckich, polskich i ostatecznie – sowieckich), natomiast Charków – na mocy konstytucji Ukraińskiej SRR z marca 1919 – stał się stolicą republiki i pełnił tę funkcję do 1934 roku.

W latach 20. to duże miasto (400 tysięcy mieszkańców, z czego około 80 procent po połowie stanowili Ukraińcy i Rosjanie, resztę – Żydzi) było ważnym ośrodkiem ukraińskiej kultury. Działo tu m.in. stowarzyszenie literackie WAPLITE (Wolna Akademia Literatury Proletariackiej), głoszące hasła europeizacji literatury ukraińskiej, zwrotu w kierunku Zachodu. W Charkowie tworzyli – korzystając z panującej w ZSRR w latach 20. polityki ukrainizacji – wybitni pisarze, jak choćby Mykoła Chwyłowy, Mykoła Kulisz, Pawło Tyczyna czy Mykoła Bażan. Miasto przeżywało także intensywny wzrost w dziedzinie gospodarki, wiążący się z dużym napływem ludności, który trwał również w latach 30., co sprawiło, iż do 1939 roku podwoiła się liczba mieszkańców. Charków dotknięty był jednak w latach 30. przez czerwony terror i postępującą sowietyzację życia. Zbliżającą się w 1941 roku wojnę z Niemcami i nadciągający do Charkowa front wielu mieszkających tu Ukraińców witało z dużymi nadziejami.

Prezentujemy fragment wspomnień Jurija Szewelowa *Ja-mene-meni... (i dowkruhy)* [Ja-mnie-mi... (i wokół)], spisanych w 1987 roku i wydanych pod pseudonimem Jurij Szerech w USA w 2001 roku, a na Ukrainie w 2012 roku przez charkowskie wydawnictwo „Folio”. (Red.)

---

**B**yłem absolutnie i bezapelacyjnie przekonany, że wojna nie potrwa długo i Związek Radziecki się rozpadnie. Pogląd taki był konsekwencją wrażenia, jakie zrobiły na mnie błyskawiczne zwycięstwa Niemiec w Polsce, Francji, Jugosławii, Grecji. System sowiecki wydawał mi się na wskroś przegniły i niezdolny do długiej walki. Przejawem jego agonii była dla mnie panika, spotęgowana zaskakująco histerycznym apelem Stalina nie do towarzyszy, a do „braci i siostr”, wygłoszonym w lipcu.

Gdy w pierwszych dniach wojny wyszło w Charkowie rozporządzenie, by wszystkie szyby w oknach okleić na krzyż paskami papieru, co podobno miało utrzymać je na miejscu, jeśli w pobliżu wybuchłaby bomba, całe miasto stało przez kilka godzin na parapetach, naklejając te paski – jak gdyby były to krzyże stawiane na grobie władzy sowieckiej. Rozporządzenia nakazujące organizację partyzantki na zajętych przez Niemców terenach, mobilizacja ludności do kopania rowów przeciwczołgowych (od której uchylałem się tak samo, jak wcześniej od wszelkiego rodzaju kampanii buraczanych czy żniwnych) – wszystko to wydawało mi się bez sensu. We wrześniu nie mogłem już nie widzieć, że oczekiwany rozpad imperium się odwleka, jednak w swojej ślepotce nawet wówczas myślałem, że jeszcze dwa, najwyżej trzy miesiące – i upadek ten jednak nastąpi. [...]

Latem 1941 gazety rzuciły hasło, którego adresatem był każdy obywatel sowiecki, mężczyzna czy kobieta, dorosły czy dziecko: „Zabij Niemca!” – straszne w swojej bezpośredniości. Ale to hasło dotyczyło nie tylko wrogów, obejmowało ono również swoich: daj się zabić! Ludzkie życie nic nie znaczyło, nawet nie próbowano go oszczędzać, tak samo jak w czasie terroru lat 30. Nie wiem, kiedy wydano prawo mówiące, że każdy żołnierz wzięty do niewoli w pełni przytomności jest przestępcą i podlega karze śmierci – obowiązywało już w październiku 1941, o czym przekonałem się podczas rozmów z żołnierzami, z którymi leżałem w szpitalu. Prawo nie do pomyślenia w cywilizowanym świecie, gdzie nawet życie pojmanych do niewoli żołnierzy wroga jest święte, tym bardziej zaś – życie własnych jeńców. [...]

Życie w Charkowie w lipcu i sierpniu na pozór mało różniło się od okresu wcześniejszego. Jeździły jeszcze tramwaje i trolejbusy, funkcjonowały wodociągi i elektryczność, działały sklepy. Na oknach wszędzie widać było białe krzyże z papieru. Wieczorem i w nocy nie zapalano świateł, a ulice były prawie puste. W czasie kilku niemieckich nalotów słysząc było z niektórych dachów artylerię przeciwlotniczą, ale z tego, co wiem, nie zestrzeliła ona ani jednego samolotu. W budynkach mieszkalnych i siedzibach instytucji utworzono drużyny przeciwlotnicze, które miały trzymać wartę na dachach i zrzucać bomby zapalające na ulice, by nie dopuścić do pożaru. Ja też byłem w jednej z nich, w UKIŻ\*, ale nikt nie uczył nas, jak obchodzić się z tymi zapalającymi zabawkami. [...]

Już w lipcu na ulicach Charkowa zaczęli się pojawiać uciekinierzy z zachodu, przeważnie Żydzi. Wyglądali tragikomicznie w futrzanych płaszczach w środku gorącego lata, ale byli mądrzejsi ode mnie, próbującego uciekać na wschód w październiku w lekkim płaszczu! Już na samym początku wojny ludzie wymietli ze sklepów, co tylko było do zdobycia. Kupowano wszystko, robiąc w miarę możliwości zapasy żywności, mydła, czegokolwiek. Im bardziej sklepy pustoszały, tym dłuższe robiły się kolejki, gdy tylko coś się pojawiało, a nawet zanim się to zdarzyło. Ale ja rzadko stałem w kolejkach, zazwyczaj robiła to matka. Miała już 77 lat i z pewnością było jej ciężko. [...]

Zawstydził mnie kolega ze studiów doktoranckich, Marek. Właśnie go zmobilizowano, był już w płaszczu wojskowym – następnego dnia miał zostać wystany pod Moskwę, na front (nie wrócił stamtąd) – i szedł do nas, by się pożegnać. Po drodze zobaczył moją matkę w długim ogonku, a wojskowi mieli prawo kupować bez kolejki. Uwolnił wtedy matkę od stania, kupił to, co dawali, i przyniósł jako swój pożegnalny prezent, pożegnalny podarunek człowieka skazanego na byle jaką śmierć w charakterze mięsa armatniego. To było nasze ostatnie spotkanie. [...]

20 września upadł Kijów, w ślad za nim Połtawa. Wojsko sowieckie znalazło się w niemieckim kotle. W mieście zaczęła się ewakuacja, choć oficjalnie nikt jej nie ogłaszał – fabryki i zakłady przemysłowe rozmontowywano i wywożono, szpitale były pełne rannych. Nad budynkiem NKWD na Sownarkomskiej, tuż obok uniwersytetu, całymi dniami z kominów szedł dym. Palono dokumenty, które mogłyby skompromitować tę szacowną instytucję, z nią zaś całą władzę sowiecką. Pewnie z tym dymem poszły dokumenty dotyczące rozkułaczania i kolektywizacji, materiały przesłuchań oskarżonych z czasów Bałyckiego\*\* i późniejszej jeżowszczyzny, papiery skonfiskowane podczas rewizji, historia ukraińskiej polityki i kultury dwóch dekad, być może niejeden zabroniony utwór. Wówczas mogło zostać spalone zakończenie *Waldsznepów i Ukrainy czy Małorosji* Mykoły Chwyłowego\*\*\*, utwory innych pisarzy, listy i dzienniki. Spisy tajnych współpracowników NKWD wywoziło ze sobą – to nie była historia, to była teraźniejszość. I wszystko to robiono w pełni planowo.

Zaczynała się ewakuacja działaczy kultury. [...] Sposób ewakuacji przypominał zupełnie technikę aresztów: niespodziewanie, błyskawicznie, potajemnie. Ludzi wywożono jak sprzęty, nie pytając o zdanie, byle nie dostali się wrogowi. Taki był plan. W środowisku naukowym ewakuacja nie obejmowała docentów i niższych kadr, czyli również mnie. Jeśli chcieli wyjechać, musieli zadbać o to sami. [...]

Zajęcia na uniwersytecie i w UKIŻ, które miały ruszyć 1 września, nie rozpoczęły się. Biura jeszcze działały, ale sale wykładowe stały puste i wiadomo było, że uniwersytet,

\* UKIŻ (Ukraińskij Komunistycznyj Instytut Żurnalistyki) – Ukraiński Komunistyczny Instytut Dziennikarstwa.

\*\* Wsewołod Bałycki – funkcjonariusz NKWD, komisarz spraw wewnętrznych ZSRR, odpowiedzialny m.in. za Wielki Głód na Ukrainie. Rozstrzelany w czasie Wielkiego Terroru, w 1937 roku.

\*\*\* Mykoła Chwyłowy – wybitny ukraiński pisarz i krytyk literacki, w 1933 roku popełnił samobójstwo na znak protestu wobec terroru sowieckiego na Ukrainie.



czyli jego kierownictwo, ma się ewakuować – dokąd, nie ogłaszano (we wrześniu mówiono już o Kyzylordzie w Kazachstanie, na wschód od Morza Aralskiego, i radzono kierować się tam tym, którzy dotrą na wschód). [...]

17 września wydarzyło się coś, czego przebieg pamiętam w każdym szczególe. Była to bowiem największa hańba i plugawość w całym moim życiu. Siedziałem sam w domu, gdzieś między dziewiątą a dziesiątą rano; matka wyszła – jak zwykle – pochodzić po sklepach, żeby zobaczyć, czy gdzieś coś dają. Zadzźwięczał dzwonek, Serbynowie otworzyli, po chwili zapukano do moich drzwi i wszedł nieznany mi mężczyzna. [...] Podał swoje nazwisko – Galicyjski, funkcję – śledczy NKWD, i poprosił, bym udał się z nim do jego biura. Chciałem zostawić matce kartkę na stole, ale mi nie pozwolił. Nikt – powiedział – nie powinien wiedzieć, dokąd idę.

Poszliśmy. Po drodze mu się przyglądałem. Był w cywilnym ubraniu i kusym paltku, miał garbatego nos i czarne włosy, ewidentnie Żyd. Nazwisko wyglądało na służbowe, nieprawdziwe. Może był specjalistą od nacjonalizmu ukraińskiego z Galicji? Nie mieliśmy daleko – trzy przecznice; w połowie drogi zawył syreny ogłaszające alarm lotniczy i machinalnie zrobiłem ruch, jakbym szukał schronu. Zauważył to i oświadczył: „Nie ma potrzeby zwracać na to uwagi. Bomby się czekistów nie mają”.

Bomby rzeczywiście nas się nie imały. Weszliśmy do budynku, przez który szły tysiące ofiar, wspięliśmy się na górę, przeszliśmy długi korytarz i znaleźliśmy się w gabinecie, który nie różnił się niczym od pierwszego lepszego biura urzędnika sowieckiego na odpowiedzialnym stanowisku. Poproszono, bym usiadł na krześle przy biurku, za którym zajął miejsce Galicyjski, i zaczęło się przesłuchanie. Zaczęło się nie od oczekiwanych przeze mnie formalnych pytań – imię, nazwisko, rok urodzenia, a po prostu od zarzutu: „Czy to prawda, że ostatnie rozporządzenie rządowe o stypendiach dla studentów uniemożliwia dzieciom kołchoźników dostęp do szkół wyższych?”.

Było to coś, co rzeczywiście powiedziałem, w rozmowie z Fajbyszenką. NKWD mogło zostać o tym powiadomione tylko przez niego. I tak dowiedziałem się, że mój sąsiad z naprzeciwka, z domu po drugiej stronie ulicy [...], Musia Fajbyszenko, był donosicielem. Zaprzeczanie nie miało sensu, więc zacząłem się usprawiedliwiać – że, być może, myliłem się mówiąc to i że nie jestem wrogiem władzy sowieckiej ani kontrrewolucjonistą. Galicyjski odpowiedział: „Wiemy, że nie należycie do zaciętych wrogów władzy, ale wiemy również, że macie na sumieniu wiele niebezpiecznych odchyłeń. Najlepiej będzie, jeśli sam, się do nich przyznacie”.

Postanowiłem wówczas ujawnić, że ukrywałem swoje „pochodzenie społeczne”, pisząc we wszystkich ankietach, że jestem synem urzędnika, podczas gdy w rzeczywistości mój ojciec był carskim generałem. [...] Galicyjski odparł: „Dobrze, że się do tego przyznaliście. Macie teraz jeden grzech mniej na sumieniu”. Dalszy ciąg przesłuchania dotyczył moich znajomych z pracy. Zaczęło się od [Leonida] Bułachowskiego i [Ołeksandra] Biłeckiego.

– Proszę nam opowiedzieć o odchyleniach nacjonalistycznych w działalności i wypowiedziach Bułachowskiego i Biłeckiego.

– Jakże oni mogą mieć odchylenie nacjonalistyczne? Przecież nie są nawet Ukraińcami.

– To nie ma znaczenia. Można nie być Ukraińcem, a być ukraińskim nacjonalistą!

Starłem się dowiedzieć, że być może coś takiego się zdarza, ale nie w ich przypadku. [...] Przesłuchanie ciągnęło się do samego wieczora, jakieś dwanaście godzin bez przerwy. Bez przerwy dla mnie, Galicyjski przerwy miał. Zastępował go wtedy inny śledczy, o nazwisku Honczar, wyglądający na Ukraińca (nie z uwagi na nazwisko – to było, oczywiście, „służbowe”). Nie zaczynał on od czegoś, co zostało już poruszone w rozmowie z Galicyjskim, a szedł dalej, bez powtórzeń. Można było wnioskować, że to standardowe przesłuchanie, stosowane w tym samym porządku wobec wielu osób. [...]

Gdy wyczerpał się krąg moich kolegów, przyjaciół i znajomych, przesłuchanie wróciło do mnie. Zapytano, co zamierzam robić w najbliższej przyszłości i czy znam niemiecki. „Musicie zrozumieć, Charków znajdzie się w strefie przyfrontowej. Niezależnie od tego, czy zostanie zajęty przez Niemców, czy nie, uniwersytet nie będzie w mieście działał. Co będziecie robić?” Odpowiedziałem, że będę przedzierać się na wschód. Galicyjski zaproponował, że mogę zostać w Charkowie również wtedy, gdy znajdzie się on pod okupacją niemiecką. Mogę otrzymać na to nie tylko pozwolenie, ale i rozkaz. Musiałbym jedynie zbierać informacje o Niemcach i miejscowych kontrrewolucjonistach. Odpowiedziałem, że nie znam niemieckiego (na szczęście śledczy nie znał moich ocen ze studiów doktoranckich i nie wiedział o piątce z tego języka), zaś z miejscowymi kontrrewolucjonistami nie chcę mieć nic wspólnego. Galicyjski zaakceptował taką postawę i zgodził się na mój wyjazd na wschód. „Znajdziemy was” – powiedział.

O ile wcześniej mogłem wahać się, co robić dalej, teraz jasne stało się dla mnie, że nie chcąc dalszych spotkań z różnymi Galicyjskimi, muszę tak czy inaczej pożegnać się z Sowietami. Ale nie był to jeszcze koniec. Przystawszy na to, bym nie pozostawał pod okupacją niemiecką, Galicyjski wygłosił obszerną perorę o tym, że w groźnych wojennych czasach każdy sowiecki patriota powinien pomagać w wykrywaniu w społeczeństwie niebezpiecznych elementów. Czy zgadzam się, ciągnął, systematycznie informować NKWD, za jego pośrednictwem, o wszystkich wypowiedziach ludzi, z którymi się spotykam, szczególnie zaś tych mających charakter kontrrewolucyjny? [...]

Wiedziałem, że można odmówić donoszenia. Mój kuzyn Sierioża Meder-Machowski otrzymał taką propozycję i ją odrzucił. Nic mu się nie stało. Ale to miało miejsce w czasie pokoju. Teraz trwała wojna. Wszystkie niepożądane elementy były bezlitośnie niszczone. Ludzi takich rozstrzeliwano albo wywożono grupami, niby w ramach ewakuacji, po drodze paląc ich żywcem w stodółach. To pierwsze spotkanie Dohadżkę\*, drugie – jak dziś wiemy – Swidzińskiego\*\*. Musiałem zyskać na czasie i przetrwać do przyjścia Niemców. Była to kwestia nie lat, a dni lub tygodni. W tym czasie mogłem nie spotykać się z nikim, prócz Fajbyszenki, na niego zaś mogłem wypisywać do woli, bo był on z urzędu „upoważniony” do wypowiedzi kontrrewolucyjnych.

Podpisałem. Mały konflikt wynikł tylko co do tego, jaki pseudonim wybiorę sobie dla tej działalności. Coś mnie podkusiło i powiedziałem, że podpisywać się będę nazwiskiem „Szewczenko”. Wyprowadziło to Galicyjskiego nieco z równowagi: „No nie, bez przesady. Proszę wziąć sobie inny pseudonim”. Bronilem się: „To nic symbolicznego, po prostu pierwsze litery są takie same i w moim nazwisku, i w pseudonimie, a poza tym będziemy spotykać się koło pomnika Szewczenki”. Po pierwszym zdziwieniu Galicyjski nie był już tak bardzo zainteresowany obroną czci Tarasa Szewczenki\*\*\* i pseudonim został zatwierdzony. Miałem również podpisać zobowiązanie, że nigdy nie powiem nikomu o tym spotkaniu i swojej działalności. Dotrzymałem obietnicy do momentu, w którym piszę te słowa. [...]

Po mojej „przyjacielskiej rozmowie” z NKWD wiedziałem, że po wojnie nie mogę zostać w Związku Radzieckim. Musiałbym wtedy nie tylko zobowiązać się do donoszenia, ale rzeczywiście to robić. Nie mógłbym już wówczas udawać, że z nikim (prócz Fajbyszenki) się nie spotykam. Z nikczemnika symbolicznego musiałbym stać się prawdziwym. Tak więc po wojnie musiałem znaleźć się za wszelką cenę na zachód od granicy sowiec-

\* Lew Dohadżko – przyjaciel Autora, pracownik naukowy Instytutu Pedagogicznego w Półtawie.

\*\* Wołodimir Swidziński – ukraiński poeta, podczas ewakuacji w październiku 1941 aresztowany w Charkowie przez NKWD i wywieziony na wschód; podobnie jak reszta więźniów, został zamordowany przez enkawudystów we wsi Nepokryte w obwodzie charkowskim, gdy konwój otoczyli Niemcy.

\*\*\* Taras Szewczenko (1814–1861) – ukraiński poeta narodowy.

kiej, gdziekolwiek by ona wówczas przebiegała. Z drugiej strony, nie mogłem pozostać w swoim mieście – czy na Rymarskiej, czy na Czornohłaziwskiej – w ostatnie dni przed odejściem bolszewików. Musiałem wyjechać z Charkowa na wschód [...] albo przynajmniej przechować się gdzieś do przyścia Niemców. [...]

Zebrali się nas trzech chętnych do wyjazdu: wielce niepraktyczny ja, bardzo praktyczny Lewczenko i skrajnie nieostrożny Iwanow. [...] O dostaniu się do pociągu, który kierował się daleko na wschód, w kierunku Wołgi, Uralu czy Azji Centralnej, nie było mowy. Jeździły zgodnie z planem, wsiadali do nich ściśle wyznaczeni pasażerowie, których tożsamość sprawdzano według list imiennych. Postanowiliśmy spróbować podróży na krótszych odcinkach, z przesiadkami. Najpierw trafiliśmy do pociągu Charków – Krasnyj Łyman\*. Było to 5 czy 6 października. Pociąg bynajmniej nie był pusty, ale też nie tak przepełniony, by nie dało się do niego wsiąść. Do Krasnego Łymanu dotarliśmy dość spokojnie, dalej pociąg nie jechał.

Był już wieczór, ale niedaleko stacji natknęliśmy się na hotele robotnicze. Stały niemal puste, robotnicy wywiezieni zostali na wschód albo uciekli. Spotkaliśmy jedynie chłopaka z Zachodniej Ukrainy, przywiezionego tutaj do pracy w kopalni, Żyda, który mimo zbliżających się Niemców nie chciał jechać dalej – wschodu miał już najwidoczniej dosyć. Bardzo ucieszył się, spotkawszy trzech ludzi, którzy – o dziwo – mówili po ukraińsku. Zaprosił nas do pustego hotelu i zabawił opowieściami o swoim rodzinnym miasteczku w Galicji. Rano trzeba było wrócić na stację i złapać jakiś jadący na wschód pociąg. Próbowaliśmy to uczynić przez cały dzień. Jednak pociągów na krótkich relacjach nie było, a do dalekobieżnych nawet palca nie można było wcisnąć – co zaś mówić, by wsiadły tam jeszcze trzy osoby. Wszystko było tak zapchane, łącznie z przedsionkami i schodami, że wszelkie próby dostania się do środka były skazane na niepowodzenie. Praktycznie rzecz biorąc, spędzaliśmy więc czas na odprowadzaniu przejeżdżających pociągów smętnym wzrokiem.

Minęła jeszcze jedna hotelowa noc, pełna wspomnień o Galicji, i na tym zakończyła się nasza znajomość z Donbasem, który do tej pory znałem tylko z map. Spędzanie kolejnego dnia na liczeniu jadących na wschód pociągów było bez sensu, postanowiliśmy więc wracać do Charkowa. Zresztą, każdy dzień zwłoki był zagrożeniem, bo front mógł odciąć nas od miasta (przecież opierając się na sowieckich doniesieniach nie byliśmy w stanie wyobrazić sobie, gdzie tak naprawdę przebiegał front – gdzieś między Połtawą a Charkowem, ale dokładnie?) i utknęlibyśmy w bezludnym Krasnym Łymanie. [...]

Wsiadliśmy do pociągu jadącego do Charkowa, być może ostatniego. Był puściutki, chyba prócz nas trzech nikt nim nie jechał. Bo po co? I kto by się na to odważył? Pustka ta mogła być nawet niebezpieczna, ponieważ NKWD mogłoby się zainteresować, kim jesteśmy i dlaczego jedziemy tam, dokąd nikt się nie wybiera – i nas zabrać. Ale nie zainteresował się nami nikt; tylko pewien niemiecki lotnik ostrzelał pociąg w pobliżu Izjuma, nie robiąc nam krzywdy. I tak znów znaleźliśmy się w mieście rodzinnym, na charkowskim dworcu, dumie ukraińskich kolei, który jeszcze tylko kilka dni miał stać nietknięty.

Wtedy zaczęły się problemy. Lewczenko nie bał się iść do siebie, Iwanow, zdaje się, również – zresztą, on akurat zawsze był nieostrożny i wciąż ryzykował. Ale ja byłem pewien, że nie chcę wracać do żadnego ze swoich dwóch mieszkań. Mówiłem o tym Lewczenko jeszcze w Krasnym Łymanie [...]. Lewczenko powiedział mi wtedy, że da się to jakoś załatwić. Miał dobrą znajomą, okulistkę, która zgodziłaby się pewnie przyjąć mnie do szpitala, gdzie pracuje. I tak zamiast do domu, udałem się do szpitala na placu Dzierżyńskiego. Przyjęto mnie jako chorego i położono na jednej z sal. Okazało się, że to sala dla rannych żołnierzy. Przewiązano mi oko bandażem, ale poza tym lekarka nie zwracała na mnie uwagi, miała dość kłopotu z poważnie rannymi. [...]

\* Krasnyj Łyman – miasto w obwodzie donieckim, na terenie Donieckiego Zagłębia Węglowego (Donbasu).

Minęło kilka dni, wszystko szło swoim trybem. Aż pewnego ranka, 24 października, niespodziewanie wszystkich żołnierzy zabrano i zostałem w wielkiej sali sam. To też było planowe. Zrozumiałem wtedy, że to mój ostatni dzień pod władzą sowiecką. Po południu wszystkich, którzy pozostali, zniesiono do piwnicy. Spędziliśmy wieczór i noc w piekle. Z daleka dochodziły odgłosy huku armat i bomb. Charków stał się polem walk. Ale nie to było najgorsze. W piwnicy nie było wentylacji! Pacjentów zebrano się dużo i byli to ciężko chorzy, bo ludzie z grypą nie kładli się w takich okolicznościach do szpitala. Obsługa medyczna rozbiegła się, chcąc dzielić niebezpieczeństwo ze swoimi bliskimi. Całe to towarzystwo jęczało, krzyczało, rzucało się bezsilnie, wzywało pomocy, ale pomoc nie przychodziła. Na dodatek jeden z chorych nie trzymał moczu i wkrótce cała piwnica wypełniła się ostrym, mdłym, ohydny smrodem.

Rano przyszła jedyna pielęgniarka, która z nami została, i powiedziała: „W mieście są Niemcy”. Zgłosiłem od razu, że moje dolegliwości ustały, czuję się dobrze i mogę wypisać się ze szpitala. Zaprowadzono mnie do biura, gdzie przebrałem się ze szpitalnej piżamy w swoje rzeczy. Dostałem zaświadczenie, w którym napisano, że przebywałem tyle i tyle dni w szpitalu, jak zaznaczono – „z powodu krótkowzroczności”. Wyszedłem na ulicę, w oslepiające światło słoneczne, w ciepły, pogodny dzień – 25 października. Skończyło się moje sowieckie życie. [...]

Koniec. Zacząć się miało moje nowe życie. 469 dni w okupowanym przez Niemców Charkowie. Człowiek potrzebuje tylko 40 dni, by umrzeć z głodu. I tylko kilku godzin, by zamaranąć na śmierć. I tylko kilku chwil, by umrzeć na szubienicy. A wszystkie możliwości mieliśmy w pełni zagwarantowane w te dni – od 25 października 1941 do 6 lutego 1943. [...]

Zaczynało się optymistycznie. Nareszcie białe krzyże na szybach okien wykonały swoje zadanie: reżim sowiecki odszedł, drzwi na wschód się zamknęły, drzwi na zachód miały się otworzyć. Tak się wydawało. Co prawda, Charków leżał w ruinach i raz po raz wybuchały założone przy odwróceniu Sowietów miny. Nie było wody. Prąd też przestał płynąć ostatniego wieczora przed wejściem Niemców. Tramwaje stały pośrodku ulic – tam, gdzie zastało je odcięcie prądu. Nie było w nich teraz tłoku, ludzie nie musieli przepychać się ani wisieć na schodkach – jak wszystko inne, tramwaje stały martwe, nieruchome. Sklepy pozamykano, nie było niczego. Zdawało się jednak, że to kwestia kilku dni. [...]

Charkowianie wyszli na ulice. Ci, którzy ukrywali się przed NKWD, i ci, którzy ukrywali się przed mobilizacją. Czerwonoarmiści, którzy pośpiesznie przebrali się w cywilne ubrania trzymane na strychach i w piwnicach, milicjanci, którzy powrzucaли rewolwery do łopani, robotnicy, którzy jeszcze przedwczoraj pomagali w niszczeniu swoich fabryk – ubrani odświeżnie, żywi i dlatego radośni. Strumienie ludzi płynęły oboma chodnikami Sumskiej, kiedy wracałem do domu ze szpitala. Chodniki w całym mieście zastane były kawałkami pobitych szyb. Szkło trzeszczało i wesoło błyszczało. Ruiny wciąż dymiły. Przechodnie w odświeżnych ubraniach wypełnili ulice. Nieliczni niemieccy żołnierze tonęli w morzu świętujących. Jesienny dzień był ciepły. Panowała ogólna radość. Stare się skończyło, zacząć miało się nowe... [...]

„Zacząć się”! Właśnie, to nie ludzie mieli coś zacząć, a coś miało się zacząć. Ludzie czekali na nakaz, rozporządzenie, choćby zachętę od nowej władzy. Potem rozlegały się wybuchy: pozostawione przez bolszewików miny wysadzały budynki. Niemcy byli wściekli i wieszali na latarniach „zakładników” – przypadkowo złapanych na ulicy ludzi. Wychođenje na miasto zrobiło się niebezpieczne. Sklepów nie otwierano. Dostaw z zewnątrz nie było, bazy stały puste. Na parkanach porozklejano nakazy nowej władzy – po niemiecku i w strasznym, niezrozumiałym galicyjsko-emigracyjnym bełkocie, który uchodził mi za język ukraiński. Mowa w nich była o tym, że nie można zajmować własności wojskowej – grozi za to surowa kara; że nie można nie słuchać niemieckiego żołnierza – inaczej surowa kara... Kara, kara... [...]



Przynajmniej jeden wielki problem czasów sowieckich – mieszkaniowy – rozwiązał się teraz od ręki. Porzuconych mieszkań i pokoiów było bez liku. W naszym dawnym pięcioletnim mieszkaniu (plus zajmowany przez nas aktualnie pokój-służbówka) puste stały teraz trzy pokoje – jeden zostawili Bimbatowie, rodzina żydowska, on farmaceuta, ona stomatolog [...]; kolejne dwa pozostały po wyjeździe rodziny enkawudzisty, również Żydów. Do tych właśnie dwóch pokoi się wprowadziliśmy. [...] Mieliśmy więc teraz te dwa i ćwierć, można by powiedzieć, pomieszczenia na Rymarskiej plus jeden pokój na Czornohłaziwskiej. Ten ostatni można byłoby w zasadzie oddać, ale sądziłem, że Niemcy mogą przejąć gmach „Salamandry” [dawna siedziba Towarzystwa Ubezpieczeniowego na Rymarskiej], ponieważ był to jeden z najlepszych budynków w mieście – i wtedy my moglibyśmy przeprowadzić się na Czornohłaziwską.



Październik 1941. Wojska niemieckie po zajęciu Charkowa. Fot. NAC

Stało się jednak odwrotnie. Przestraszeni doświadczeniem wysadzonego przez bolszewickie miny kijowskiego Chreszczatyku, Niemcy w Charkowie unikali okazałych budynków i zajmowali na swoje potrzeby te gorsze. I właśnie dom na Czornohłaziwskiej postanowili zająć dla swoich żołnierzy. Na początku zakwaterowali ich w opuszczonych mieszkaniach, potem kazali zabrać się w 24 godziny dotychczasowym lokatorom. [...]

Zanim mnie wysiedlono, miałem na Czornohłaziwskiej konflikt z Niemcami; był to mój chrzest bojowy i zarazem kapitulacja. Gdy niemieccy żołnierze zajęli już inne piętra, a ja nie miałem jeszcze nakazu wysiedlenia, wpadł do mnie jeden z nich i bez wyjaśnień zdart z okna sukienną zasłonę ceglastergo koloru. Zdecydowałem zaprotestować i wyciągnąłem rękę, by zabrać swoją własność, bełkocząc przy tym, że wojsko niemieckie pochodzi z kulturalnego kraju i nie powinno grabić. Niemiec wyciągnął pistolet i wystrzelił go we mnie. Argument był przekonujący, zrzekłem się więc swoich praw do zasłony. Zresztą, potrzebował jej jako kołdry.

Ich wojsko było zupełnie nieprzygotowane na zimę na Ukrainie, zaś tego roku była ona szczególnie sroga. Niemieccy żołnierze nie mieli wówczas nawet płaszczy i niepo-

jęte było, że w trwających całą zimę strasznych mrozach chodzili w samych mundurach; jak gdyby rzeczywiście chcieli dowieść, że są nadludźmi. Hitler najwidoczniej uważał, że Rosja legnie mu u nóg przed początkiem zimy, ale wojsko sowieckie trzymało się naprawdę bohatercko. Nie wiem, jaki wewnętrzny mechanizm za tym stał – czy było to wrodzone poczucie dyscypliny, czy strach?

To właśnie zimno nie pozwoliło nam się zadowolić w nowo zdobytych pokojach. Centralne ogrzewanie „Salamandry” było teraz, gdy zabrakło i wody, i opału, jedynie wystawą martwych kaloryferów. Tak jak w łazience, i w kuchni martwe były krany, w toaletach stały martwe klozety, a na sufitach wisiały martwe lampy elektryczne. Przyszło nam ścisnąć się w jednym pokoju. Na początku nie mieliśmy żadnego ogrzewania, wszystko zamarzało. Wkładając w zimną pościel jak w worek, pod dostępne kołdry i zasłony (doświadczenie niemieckiego żołnierza!), z omotaną głową i twarzą, ciepłem własnego ciała ogrzewaliśmy swoją norę, zaś wylezienie z niej rankiem było aktem prawdziwego męstwa.

Gdzieś w połowie zimy udało mi się dostać burżujkę – blaszany piecyk, komin wystawał przez okno, wiatr zawiewał dym z powrotem do pokoju, zaś opał... Za opał służyła więźba dachowa ze zbombardowanych domów żydowskiej biedoty na ulicy Myszczanskiej. Ogromne belki należało przyciągnąć do domu, popiłować, a potem porąbać... Dostarczanie opału było moim obowiązkiem, palenie w burżujce – zadaniem matki. Jak dziś, widzę ją z głową obwiązaną dla ochrony przed sędzą białą chustką, która do wieczora robiła się czarna, wieczór, nie ma światła, a my tulimy się przy piecu, wyciągamy do niego ręce, podstawiamy nogi, łóżka przysunięte są jak najbliżej, ale rano i tak w pokoju jest mróz, a wylezienie ze śpiworów domowej roboty znów wymaga nadludzkiego wysiłku.

Latem 1941 beztrósko pisałem swoją rozprawę o zdaniu oznajmującym i języku Szewczenki, ale zimą na przełomie 1941 i 1942 roku nie było już o tym mowy. Krótkie dni schodziły przeważnie na dbanie o zaopatrzenie – czy to w belki na opał, czy to w wodę ze studni daleko za stromym Zjazdem Mordwynińskim, czy bliżej – w śnieg, który miał zostać roztopiony na wodę, ze wszystkimi ulicznymi śmieciami i posmakiem rdzy. [...]

Wrogiem gorszym od zimna był głód. Zagroził nam już w pierwsze październikowe dni, a na dobre zapanował w listopadzie. Widziałem wszystkie jego stadia. Na początku człowiek straszliwie chudł, ale to nie była jeszcze faza śmiertelna. Potem się puchło, co oznaczało bliski koniec. Człowiek nadal chodził, choć niepewnie, i nagle padał, często, w niesprzątane oczywiście przez nikogo zaspy śnieżne. Jednych chowano – wywożono ich na małych dziecięcych sankach na cmentarz, innych zasypywał śnieg, a wiosną, podczas odwilży, wynurzała się spod śniegu ręka, noga, twarz, całe ciało... [...]

Zapasów mieliśmy na jakieś dwa–trzy tygodnie. Trzy, gdyby oszczędzać. Ale ja byłem jak dziecko – oszczędzać nie umiałem. Byłem głodny, chciałem jeść czy raczej – żreć. Matka starała się mnie przekonać: „Miej rozum, jak dziś zjemy wszystko, co będzie jutro?”. Rzuciałem się na jedzenie jak dzikie zwierzę, jak gdyby perspektywa prawdziwego głodowania zmuszała mnie już teraz ten głód odczuwać. Prócz tego – miałem już 33 lata, ale, jak chłopak, nie wierzyłem jeszcze w śmierć. Być może ktoś umrze – ale nie ja. [...]

Mojej ciotce Marusi [Meder] żyło się lepiej. Zapisła się do tak zwanych volksdeut-schów – nie obywateli niemieckich, a osób pochodzenia niemieckiego. Jako volksdeutsche, ona i jej rodzina – kuzyn Sierioża z żoną Ludą Machowską – otrzymywali skąpy, bo skąpy, ale regularny przydział opału i żywności. Dostali też porządne dwa pokoje na ulicy Gogola, zamiast poprzedniego pokoiku na troje na Skrypnyckiej. Czasami szliśmy z matką do Mederów. W jednym pokoju gospodarze gadali z matką o różnościach, ja zaś próbowałem dostać się od drugiego pokoju, żeby pograć się tam niby koło pieca. Na płycie suszyło się mokre zboże, które dostawali Mederowie. Podkradałem ziarenko za ziarenkiem i chciwie je żułem. Moim panem był głód – tylko jemu się podporządkowywałem.

Jednak – nie całkiem. [...] Chodziłem na bazar. W pierwszych dniach okupacji jeszcze nie istniał, potem zaczęli się nieśmiało pojawiać pierwsi sprzedawcy – nie chłopi, bo ich do miasta nie wpuszczano, a ludzie z miasta. Nie mieli żywności, rozkładali na ziemi swoje marne towary na sprzedaż, różne śmieci ze swych nędznych gospodarstw, na które rzadko kiedy znajdowali się kupcy. Po jakimś czasie zaczęła pojawiać się żywność – czy raczej to, co miało ją głodnym charkowianom zastąpić. To właśnie po te produkty chodziłem na bazar Błahowiszczański, poza tym świecący pustkami.

Pewnego razu kupiłem garść łupin ziemniaczanych, ważny przedmiot ograniczonego obiegu handlowego czasów wojny. Same ziemniaki były przywilejem niemieckich żołnierzy, tu zaś ktoś wykazał się prywatną inicjatywą – albo wyżebrał łupiny u kucharza, albo wygrzebał je na śmietniku. Chleb i ziemniaki nie wchodziły w skład racji żywnościowych charkowian-tubylców. Jeszcze mniej dostępne były olej czy masło. Za drugim razem zobaczyłem na tym samym bazarze tłuszcz podejrzanego koloru świecowego łaju, podzielony na aptekarskie porcje. Sprzedawca przysięgał, że tłuszcz jest jadalny. Rzekniesz, był on jadalny w tym sensie, że po jego zjedzeniu wciąż żyliśmy. Ale śmierdź! Boże mój, i pierwszą reakcją żołądka była chęć pozbycia się go.

Ceny na te wszystkie delikatesy były astronomiczne. Na początku okupacji miałem trochę pieniędzy – z moich charkowskich pensji uniwersyteckich, z niby-pracy w Kijowie (w Instytucie Językoznawstwa) i z tego, co udało mi się wystać w kasie oszczędnościowej. Jednak przy tych cenach pieniądze topniały jak śnieg wiosną.

Kiedyś na bazarze wśród różnego śmiecia oferowanego przez jednego ze sprzedawców zobaczyłem tomik Mykoły Chwyłowego, jeden z trzech, które wydane zostały przed jego śmiercią i zakazaniem wszystkich jego utworów. I ja go kupiłem. Tak, jak pijak wyrzeka się ostatniego kawałka chleba, by dostać jeszcze jeden kieliszek wódki. Gdy przyniosłem tomik do domu, matka nawet nic nie powiedziała, w jej oczach załśnił tylko ból... i zrozumienie. Tomik nie miał szczęścia. Gdy porzucaliśmy Charków w 1943 roku, musiał tam pozostać, nie dotarł na Zachód, do Europy. A kupiony został być może za cenę czyjegoś życia.

Drugim przejawem mojego nierozsądku było to, że nie chciałem zapisać się jako volksdeutsch, za przykładem ciotki Marusi. Formalnie miałem ku temu wszelkie podstawy, nawet większe niż ciocia – tylko jej nieżyjący mąż, wujek Wasia, był pochodzenia niemieckiego; ja miałem niemieckie korzenie i ze strony ojca, i częściowo ze strony matki. Wpisanie się do volksdeutscheów gwarantowało przeżycie: minimalną ochronę, żywność i opał. W przypadku ewakuacji (o czym wówczas jeszcze nie myślano) gwarantowało możliwość wyjazdu. [...]

Ale tak naprawdę nie myślałem o tym poważnie. Nie chciałem zostać Niemcem. Pochodzenie pochodzeniem, jednak nie byłem w stanie zmienić swojej skóry i swojej duszy. Przynależałem gdzie indziej. Sprawiedliwość losu, jeśli zakładamy, że coś takiego istnieje, z czasem pokazała, że miałem rację – i ukarała rodzinę cioci Marusi. [...]

Niemcy wywieźli ich z Charkowa zorganizowanym transportem, do zupełnie wówczas bezpiecznego Litzmannstadtu, jak wówczas Niemcy nazywali polską Łódź, stamtąd zaś przesiedlili do wsi w południowo-zachodnim zakątku Niemiec. I to ich zgubiło. Po wojnie wieś ta stała się częścią francuskiej strefy okupacyjnej, w której sowieckie komisje repatriacyjne miały pełną swobodę działania i gdzie nie było żadnej życzliwej duszy, która mogłaby uprzedzić ciocię o pojawieniu się komisji. W ciągu jednej nocy całą rodzinę Mederów wywieziono, straciliśmy z nimi kontakt. Po kilku tygodniach przyszedł do mamy list od cioci Marusi. Byli w sowieckim obozie repatriacyjnym gdzieś pod Berlinem. Oczywiście – za drutami i pod strażą. Najwidoczniej ciocia przekonała kogoś, kto mógł wychodzić z obozu, do nadania listu na pocztę. Ale sam list pisany był już tak, jakby zakładano, że zostanie przechwycony. Ciocia Marusia pisała, że wywieziono ich z domu i jaka jest szczęśliwa, że wiozą ją do ojczyzny. Oczywiście była to droga ku zagładzie. Mederowie

już raz uciekali z białymi i wrócili na Ukrainę z Turcji. Sowieci nie mogli dać im drugiej szansy ucieczki. [...]

To była niezmiernie wysoka cena za ciepły pokój i skromne racje żywnościowe w wygłodniałym, zgębionym Charkowie 1942 roku. [...]

Zapasy jeszcze się nie wyczerpały, ale widać już było, że nie będzie jak ich uzupełnić. Mój znajomy, Wołodymyr Hryhorewicz Cebenکو – nieoficjalnie „wujek Wowa” – był człowiekiem praktycznym. Wiedział, że po drodze do fabryki traktorów znajdują się plan-tacje buraków cukrowych i charkowianie chodzą tam wykopywać to pożywne warzywo – chodźmy więc i my. Formalnie fabryka traktorów leżała jeszcze w granicach miasta, więc wędrowki w tym kierunku nie były zabronione. Idziemy. [...] Kopiemy. Prawdziwych łopat nie mamy, tylko jakieś niepoważne erzace, a ziemia już na wskroś przemarzła i przydałyby się solidne łomy. Zdobycz jest mizerna, a wysiłku kosztowało nas to dużo. Ale jesteśmy wciąż w pełni sił, dzień jest słoneczny, zaś widok pola przyjemniejszy dla oka niż osmalone ruiny miasta. Przynosimy do domu kilka buraków, ale są przemarznięte i gdy rozmarzają, robią się ohydnie gorzkie. Nie da się tego jeść. Sowiecka strategia – zostawić miasto bez żywności – jeszcze raz zwycięża.

Druga ekspedycja miała miejsce w apogeum zimy. Nie tylko Charków, lecz i całą Ukrainę Słobodzką pokrył głęboki śnieg. Zapasy się skończyły. Nie było też gdzie zarobić, by kupować na bazarze delikatesy w rodzaju obierek od ziemniaków. Trzeba iść na wieś, żeby wymienić rzeczy na żywność. Należy wybierać odległe wsie, bo po bliższych przetoczyły się już hordy głodnych mieszczuchów i chłopci niechętnie odnoszą się do tej wygłodniałej szarańczy.

Jestem już porządnie osłabiony i nie mam odwagi iść sam. Zgadza się pójść ze mną Lewczenkowie – Serhij Pyłypowycz i jego wierna ksantypa, Ałła. Saneczki są. Wyszukuję w domu na wymianę jakieś obrusy i inne niezbyt atrakcyjne rzeczy.

Ruszamy w kierunku Lubotyń, dalej na północny zachód, na Bohoduchy. Nie mamy mapy, nie wiemy też, które wioski są bogate, a które biedne. Ukraina leży pod śniegiem, wokół zaspy, zaspy, góry i droga wydeptana przez ludzi. To szczęście, bo inaczej byśmy nie doszli, i pech, bo znaczy, że już tu byli, już się wymieniali. Mróz około minus trzydziestu, jesteśmy zakutani, w co tylko możliwe. Wchodzimy do chat, odpowiedź przeważnie: już się nawymienialiśmy, nie jesteśmy zainteresowani. Albo popatrzą na nasz kram – i pogonią. Wreszcie w którejś chacie skłonni są wziąć moje obrusy, mnie zaś proponują zamarniętą końską nogę. Triumf.

Lewczenkowie namawiają mnie, byśmy przenocowali tu na ławce i jutro szli dalej szukać nietkniętych jeszcze wsi. Ale ja nie mam siły. Idę do domu, choćby nie wiem co. Lewczenkowie pewnie w duszy mnie przeklinają, ale przyjaźń rzecz wielka, nie mogą zostawić mnie samego, wyruszamy więc z powrotem do miasta. Końskiej nogi przy oszczędnym spożyciu wystarczyło nam na całe dwa tygodnie; ale ogólne rezultaty ekspedycji są dość żałosne, perspektywy niewesołe, a wytrzymać trzeba przynajmniej do maja, gdy coś zacznie wyrastać z ziemi. [...]

W mieście tymczasem zaczęła się powoli tworzyć władza. Nie mogliśmy zrozumieć tego procesu. Niemcy niby nie przejawiali inicjatywy, ale nagle pojawił się burmistrz, Kramarenko. Wokół niego zaś powstał organ zwany Zarządkiem Miejskim. [...]

Któregoś dnia na Sumskiej spotkałem Połuwedżkę, tego samego, który był jednym z kierowników Centralnych Kursów Ukrainoznawstwa, gdzie pracowałem jako lektor w czasach ukrajinizacji\*. Serce mocno mi zabiło, rzuciłem się, by zatrzymać to cudow-

\* Ukrajinizacja – w latach 20. i na początku lat 30. polityka wprowadzania języka ukraińskiego do szkół, urzędów i ogółem kultury w Ukraińskiej SRR. Element szerszej sowieckiej polityki narodowościowej – tzw. korenizacji.

ne zjawisko. Byłem przecież pewien, że całe kierownictwo kursów zostało aresztowane i zginęło. A oto Połuwedźko, cały i zdrowy... Zawołać go, ale jak? Na kursach był towarzyszem Połuwedźką, ale oczywiście nie wypadało nazywać go tak teraz. *Per pan?* Lecz czy można współczesnego człowieka nazwać panem? Przecież nawet w sowieckim elemencie pierwsze bodaj zdanie brzmiało: „Kiedyś byli panowie i niewolnicy”. Nie mogłem zwrócić się do niego *per pan*. I tak szedłem za nim i milczałem, aż zniknął w siedzibie Zarządu Miejskiego. [...] Tego dnia na balkonie Zarządu pojawiła się ukraińska flaga, żółto-błękitna – byłem pewien, że to Połuwedźko ją przyniósł i wywiesił.

Teraz wiadomo już, że Połuwedźko był sowieckim prowokatorem, którego Niemcy wykryli i na początku 1942 roku rozstrzelali. Być może moja bojaźliwa nieumiejętność zwrócenia się do niego uratowała mnie przed aresztowaniem, co stałoby się, gdybym został jego współpracownikiem w Zarządzie, na pewno zaś uchroniła mnie przed baczynym okiem sowieckiego podziemia. Tak oto kwestia językowa zadecydowała o życiu człowieka. Z drugiej jednak strony – wciąż byłem osamotniony, bez dostępu do tego, co uważane było za początek nowego życia. A także bez dostępu do minimalnych choćby racji żywnościowych. Bo urzędnicy miejscy dostawali obiad, składający się z talerza gorącej wody, w której pływał kawałek byczka – ościstej rybki; zdawało się to wówczas takim cudem, jak nakarmienie jedną rybą 5 tysięcy ludzi w przepowieści ewangelicznej.

Droga do „nowego życia” otworzyła się dla mnie wraz z pojawieniem się w Charkowie gazety\*. [...] Do pisania do niej zaprosił mnie Mykoła Mykołajowycz Ohłobłyn. Miałem sam wybierać sobie tematy, ale na początku Ohłobłyn poprosił, bym napisał o sytuacji języka ukraińskiego na Ukrainie sowieckiej i to był mój debiut w niemieckiej prasie okupacyjnej. Możliwości mieliśmy ograniczone. Informacje z zagranicy nadchodziły przez źródła niemieckie, przesiane i cenzurowane, nikt tu nie pytał redakcji o zdanie.

Żadnego programu na przyszłość gazeta mieć nie mogła, stanowisko w tej kwestii było takie, że najpierw trzeba wygrać wojnę, potem zaś myśleć o reszcie. O ukraińskiej przeszłości również należało milczeć we wszystkich tych przypadkach, gdy Ukraina była choć trochę samodzielna, jeszcze bardziej zaś – gdy ośmielała się pretendować do niepodległości. Jedyne, co było dozwolone, to krytyka niedawnej przeszłości sowieckiej. Ale to było już dla nas, dla mnie – coś. Fakty z tej przeszłości można było nazwać po imieniu, można było wspomnieć o uciskach i prześladowaniach – i tę możliwość, praktycznie jedyną, trzeba było wykorzystywać. Artykuł o kondycji języka ukraińskiego wpisywał się w tego typu problematykę, więc zgodziłem się to zamówienie wykonać. [...]

Ohłobłyn nie przyjął natomiast wierszy, które przyniosłem mu, zdaje się, jeszcze w listopadzie 1941 roku. To była świetna nauka godności narodowej. [...] Dobrą dekadę żyłem w kraju, w którym Tyczyna, Ryłski, Bażan\*\* i zastępy pomniejszych poetów konkurowały ze sobą w tworzeniu ód na cześć Stalina. O mało nie zapomniałem o czasach, gdy poezja była poezją, nie zaś ćwiczeniem na zadany temat. I wreszcie przyszli Niemcy, na których czekałem. Nie przywieźli do Charkowa niczego: ani towarów, jakich naiwnie oczekiwały mieszcuchy, ani rządu na czele z Wynnyczenką\*\*\*, jak spodziewała się część inteligencji i chłopów, ani publikacji dla „tubylców”, nawet propagandowych. Jedyne, co przywieźli i czym szczerze obdarowywali, to portret Hitlera, jak się patrzy, cały w brunatnościach, jakby w duchu realizmu socjalistycznego, z białym napisem: „Hitler wyzwoliciel”.

\* W grudniu 1941 zaczęto wydawać w języku ukraińskim gazetę „Nowa Ukrajina” (Nowa Ukraina).

\*\* Pawło Tyczyna, Maksym Ryłski, Mykoła Bażan – znani ukraińscy poeci, w latach 30. tworzyli zgodnie z oficjalną linią sowiecką, dzięki czemu uniknęli śmierci w czasie Wielkiego Terroru.

\*\*\* Wołodymyr Wynnyczenko – ukraiński pisarz i narodowościowy działacz polityczny, jeden z twórców Ukraińskiej Republiki Ludowej, od 1919 roku na emigracji.



Z połączenia stalinowskiej tradycji poetyckiej i moich szczerych nadziei na wyzwolenie przez Niemców wyrosła moja – jeśli można ją tak nazwać – poezja, w której wysławiałem – nie, chwala Bogu, nie Hitlera, tylko pochód niemieckiego wojska na wschód. Co jak co, ale taki wiersz, myślałem, zostanie ciepło przyjęty na łamach nowej gazety. Nie został. Mykoła Mykołajowycz mi go oddał. Zapewne wiedział o Niemcach i ich prawdziwych zamiarach więcej niż ja, ale był zbyt ostrożny, by o tym mówić. Zwrócił mi tylko uwagę, że „Nowa Ukraina” jest gazetą ukraińską i nie ma powodu, by wychwalała Niemców. Zapamiętałem tę lekcję na całe życie i nigdy już nie wystawiałem armii żadnego kraju jako wyzwolicielskiej. [...]

Uniwersytet stał pusty i martwy. Z czasem zaczęli się odnajdywać ci profesorowie (nieliczni) i ci docenci (trochę liczniejsi), którzy pozostali na miejscu. Ale o wznowieniu nauczania nie mogło być mowy. Nie pozwoliliby na to ani Niemcy, ani okoliczności. [...] Pełniący obowiązki rektora, Choma Semenowycz Riabokiń, matematyk [...] mógł co najwyżej dbać o to, by nie rozkradziono majątku uniwersyteckiego. Wydawał poza tym niedobitkom zaświadczenia o ich stopniach naukowych i posadach. Gdy Niemcy zaczęli łapać ludzi i wywozić do pracy w Rzeszy, miano nadzieję, że zaświadczenia te uchronią od wywózki, choć wątpię, by rzeczywiście miały taką magiczną moc.

W zarządzie miejskim istniał wydział oświaty. Na jego czele stał P. Dryha, podpisujący się jako profesor. Być może nim był, ale gdzie i kiedy uzyskał ten tytuł – nie wiem. Wydział ten próbował wznowić działalność szkół podstawowych. Z tego również nic nie wyszło. [...] Jednak to właśnie dzięki wydziałowi oświaty 15 maja zacząłem pracować. Straszna zima skończyła się, przeżyłem ją – i otrzymałem przydział do pracy w tym, co nosiło wówczas nazwę Biblioteka Nauczycielska Zarządu Miejskiego.

Przed okupacją była to biblioteka Domu Nauczyciela, na ulicy Serdiukiwskiej, dokładnie naprzeciwko budynku, w którym teraz mieściła się redakcja „Nowej Ukrainy”. Biblioteka nie została zniszczona, ale zimą nikt nie był oczywiście w stanie pracować w takiej lodowni i książki stały nietknięte. Moim zadaniem było teraz oddzielić ziarna od plew, czyli – wyszukać książki, które zawierały propagandę komunistyczną. Tak spędziłem dwa miesiące sam pośród książek, które rozmarzały po zimowych chłódzie, słońce nareszcie przyjaźnie grzało, wciąż byłem głodny, ale nie był to już ten srogi, drapieżny głód, który pożerał siły i niszczył myśł.

Maj był miesiącem frontowego kryzysu w pobliżu Charkowa. Armia Czerwona przeszła do natarcia na kierunku Łozowa–Krasnohrad, najwidoczniej w celu otoczenia Charkowa. Przez ponad tydzień w powietrzu dudniło od niedalekiej kanonady, nad miastem pojawiały się sowieckie samoloty i czasem robiło mi się nieswojo. Ale wśród Niemców nie było żadnej paniki i co dzień udawałem się pełnić swoje cenzorskie obowiązki w Domu Nauczyciela, jakbyśmy mieli tu być wiecznie, jak gdyby przyjsz miał czas, gdy pojawiają się nowi czytelnicy, których strzec trzeba będzie przed wrogimi wpływami ideologicznymi i zwykłym książkowym śmieciem.

[Sowieckiemu marszałkowi Siemionowi] Tymoszence nie poszczęściło się z atakiem i otoczeniem Charkowa, czerwoni sami znaleźli się w żelaznych niemieckich kleszczach, a armatnie wybuchy przestały wstrząsać powietrzem nad miastem. Zaczynało się nowe i ostatnie niemieckie natarcie na Kaukaz i Stalingrad, front oddalił się od Charkowa. Redakcja „Nowej Ukrainy” dostała przepustkę na podróż do miejsca niedawnych walk. Ohłobłyn opowiadał o setkach tysięcy trupów czerwonoarmistów, które pokrywały kilometry ukraińskiego stepu, o strasznym, niemieszczącym się w ludzkiej wyobraźni pobojujowisku. Kolejny raz użyto ludzi jako mięsa armatniego i kolejny raz zmieniono ich w padlinę, śmierzące ścierwo. [...]

Nie winiłem Niemców za zupełne zaniedbanie charkowskiej ludności, za ruinę i śmierć głodową dziesiątków tysięcy ludzi. Sowiecka taktyka spalonej ziemi stworzyła Niemcom

takie warunki, że nawet zaopatrzenie własnego wojska było ogromnym problemem, więc nie byli też w stanie dbać o tubylców. Ale w tym czasie przeczytałem *Mein Kampf* Hitlera. Była to książka u nas zabroniona, zdobyć ją można było jedynie nielegalnie, pożyczając od niemieckiego żołnierza albo oficera. [...] Pomógł mi Sierioża Meder. [...] Odkłóżyłem wówczas na bok wszystko inne i przeczytałem książkę od deski do deski. [...]

Książka była zakazana, ale mniej więcej w tym okresie na ulicach Charkowa rozklejono plakaty. Wysoki, jasnowłosy niemiecki żołnierz wpatrywał się w nieprzebrane ukraińskie łany, nad którymi wschodziło słońce, tekst zaś mówił: „Walcz, niemiecki żołnierzu, ten czarnoziem będzie twój”. W świetle książki i tych plakatów jasne stawało się, że skazanie charkowian na śmierć głodową czy zakaz wszelkiej oświaty dzieci i młodzieży swoje głębsze korzenie miały nie w bliskości frontu i zniszczeniach – a w odgórnej polityce niemieckiej. Potwierdzało to jeszcze moje nastawienie na niebranie w tym udziału. To nie była moja wojna, nasza wojna. W jakikolwiek sposób by się ona skończyła, Ukrainie mogło być tylko gorzej. Retoryka o nazizmie jako „brunatnej zarazy” była bezsensowna, gdy na drugiej szali nie stawiano Rosji – „czerwonej zarazy”. [...]



Charków, plac Wehrmachtu (przed wojną plac Czerwony), czerwiec 1942. Fot. Bundesarchiv

Moja „praca” w magazynach biblioteki Domu Nauczyciela – gdy samotny w wielkim budynku, pośród półek zastawionych książkami, odkładałem na bok przemowy Stalina i Chruszczowa (choć nikt ich nawet nie niszczył), czasem zaś zagłębiałem się w jakąś dobrą powieść – skończyła się 20 lipca. Dostałem lepszą posadę – w samym Zarządzie Miejskim! [...] Obowiązek w nowej pracy miałem tylko jeden – odpowiadałem za pieczętki. Nie, bynajmniej nie za pieczętkę samego Zarządu, nie byłem jej Lordem Kanclerzem, to należało do prerogatyw sekretarki burmistrza. Odpowiadałem za pieczętki tych wszystkich instytucji, które wówczas powstawały. Zgodnie z niemieckimi wymaganiami, każda nowa instytucja (spółdzielnia, cech czy nawet przedsiębiorstwo prywatne) powinna była mieć swoją pieczętkę, w dodatku dwujęzyczną – ukraińską i niemiecką. Miało to służyć kontroli – wszystkie legalne instytucje musiały figurować

w rejestrze. Do zatwierdzania pieczętek wyznaczony został specjalny wojskowy, wówczas w stopniu kapitana [...].

Moim zadaniem było zbieranie podań o pozwolenie na pieczętkę razem z tekstami samych pieczętek i odnoszenie ich do mojego *Herr Hauptmanna*, który należał do miejscowej komendantury niemieckiej. Urzędnik rozpatrywał podania, a po kilku dniach szedłem znów do niego, zabierałem projekty pieczętek z jego pozwoleniem i oddawałem je petentom. Jeden dzień w tygodniu przeznaczony był, by oddać te materiały, inny – by je odebrać. Trasa przemarszu była, jak na człowieka wycieńczonego niedojadaniem, dość długa; od placu Mykołajewskiego do Sumskiej na wysokości Basejnej jest około kilometra. Poza tym miałem jedynie siedzieć za swoim biurkiem i czekać na petentów.

Gdyby życie gospodarcze w Charkowie i okolicach kwitło, miałbym pewnie dość pracy nawet za swoim biurkiem. Ale do rozkwitu było bardzo daleko, więc w ciągu tygodnia miałem zazwyczaj dwóch–trzech petentów. Była to więc synekura, a nawet rodzaj walki z Niemcami, bo przecież dostawałem pieniądze – co prawda bezwartościowe i nieduże – za to, z czego Niemcy nie mieli żadnej korzyści. Większość swojego czasu pracy spędzałem na rozmowach, które obracały się głównie wokół tego, czy Niemcy zdołają wygrać wojnę i co będzie z nami, jeśli ją przegrają.

W mojej karierze administracyjno-pieczętkowej był tylko jeden epizod, który zakłócił jej monotonię. Zaproponowano mi łapówkę. Przyszedł do mnie człowiek z okolic Izjuma. Zakładali tam jakiś niewielki zakład przemysłowy i potrzebowali pieczętki. Mężczyzna pojawił się w nieodpowiednim dniu. Dzień czy dwa wcześniej odbyłem już swoją cotygodniową trasę i do następnej trzeba było czekać jakieś pięć dni. Dla kogoś miejscowego nie stanowiłoby to problemu, jednak to był przyjezdny, który nie miał się gdzie podziąć w obcym mieście i musiał niezwłocznie wracać do domu. Tłumaczyłem mu, że mam audiencję w komendanturze tylko raz w tygodniu i nic tu nie poradzę. On swoje, ja swoje. I nagle mężczyzna mówi, że ma butelkę oleju słonecznikowego, która będzie moja, jeśli jego pieczętka zostanie zatwierdzona tego samego dnia. Butelka oleju! Takiego kąska nie widziałem od początku okupacji niemieckiej.

Serce nie kamień, tym bardziej zaś język i żołądek. Powiedziałem, że spróbuję. Naprawdę nie wiedziałem, czy wpuszczą mnie nieumówionego do kapitana i jak ustosunkuje się do mojej wizyty władca pieczętek. Ale wszystko poszło gładko. Po moich wyjaśnieniach wartownik wpuścił mnie do kapitana, a ten po krótkich tłumaczeniach podpisał pozwolenie i oto wracałem do Zarządu w cudownym nastroju. Cekał tam na mnie mój izjumski kupiec, podał mi dumnie jego podpisane pozwolenie, on zaś schował je do kieszeni i wyszedł. Siedziałem oszupiały, ale cóż mogłem zrobić, gdy pozwolenie leżało już w kieszeni mojego klienta. Marzenie o oleju pozostało marzeniem. [...]

W Charkowie powstała jeszcze jedna instytucja, o charakterze już nie administracyjnym, a czysto społecznym – Proswita\*. Inne instytucje tworzone jako przybudówki niemieckiej władzy wojskowej, ta stanowiła coś oddzielnego. Zarządy miejskie istniały we wszystkich okupowanych przez Niemców miastach, charkowska Proswita była unikalna. Przynajmniej ja nie słyszałem o Proswitach w innych miejscowościach. Zdziwienie budzić może to, że właśnie w Charkowie, gdzie działał i pisał Mykoła Chwyłow, który tak złośliwie drwił z Proswity, twierdząc, że Ukraina stoi przed wyborem – albo Europa, albo Proswita, w Charkowie, gdzie nawet tradycja starej Proswity nie była silna, powstała organizacja o takiej nazwie.

Żołęźcielami Proswity, podobnie jak kierownikami w zarządzie po okresie Kramarenki, byli nie ci, którzy wychowali się w porewolucyjnych, sowieckich już czasach – jak

\* Proswita – ukraińska organizacja społeczno-oświatowa, założona we Lwowie w 1868 roku. Na Ukrainie sowieckiej w 1922 roku została zdelegalizowana.

ja i ludzie mojego pokolenia – a niedobitki z czasów walk niepodległościowych. [...] Ludzie mojego pokolenia oduczyli się bycia organizatorami, wychowano ich na wykonawców. Przywykli do tego, że dyrektywy „napływają” z góry. Te niedobitki poprzedniego pokolenia przeszły uwięzienie (kary nie były wówczas jeszcze tak surowe, trafiali do więzienia przeważnie w drugiej połowie lat 20., dostawali 5, rzadko 10 lat, jednak część z nich uniknęła potem powtórnego aresztowania i ocalała), ale nie straciły zdolności do decydowania i samodzielnej działalności. Teraz ludzie ci stawali na czele nowych instytucji nie tylko dlatego, że byli zdolni – tacy byli i w młodszych pokoleniach – a przede wszystkim dlatego, że znali z własnego doświadczenia inną rzeczywistość, świat odpowiedzialności za siebie i za ludzi podobnie myślących.

Proswita nie była ani zabroniona, ani dozwolona. Gdyby Charków doczekał się niemieckiej władzy cywilnej, zostałaby zabroniona i nie wiadomo, jaki los spotkałby jej organizatorów i członków. Problem ten jednak wtedy dla mnie nie istniał. Byłem pewien, że jeśli organizacja istnieje, ma na to pozwolenie. Jednak Wasyl Wasylowicz Dubrowski ze swoim doświadczeniem z dawnych lat i zestania wiedział, że są czasy, gdy prawa nikt nie daje, trzeba je sobie wziąć samemu. To on stał się organizatorem charkowskiej Proswity.

W głodnym, zmarzniętym Charkowie Proswita nabrała szczególnych cech. Miała stać się ośrodkiem oświatowym i do pewnego stopnia się to udało. Nie miała jednak księgozbioru i w tych okolicznościach nie było mowy o jego rozruchu. Czasem trafiały do nas z Zachodu pojedyncze broszury, ulotki – popyt na nie był ogromny. Pojawiły się skądś w sprzedaży papierowe portrety dużego formatu przedstawiające ukraińskich działaczy państwowych. Kupiłem Hruszewskiego\*, Petlurę\*\* i Mazepę\*\*\* – i dzień, gdy wieszałem te portrety na ścianach naszego pokoju w „Salamandrze”, był prawdziwym świętem. W Proswicie odbyło się też nabożeństwo żałobne ku pamięci Petlury, choć bez uroczystych wystąpień. Przemówienia miały za to miejsce w rocznicę ogłoszenia niepodległości w 1918 roku. To tam po raz pierwszy usłyszałem *Jeszcze Ukraina nie umarła*\*\*\*\* i moje serce zabiło mocno ze szczęścia.

Jednak w ówczesnych warunkach Proswita musiała przede wszystkim wziąć na siebie troskę o utrzymanie swoich członków przy życiu. Nie była w stanie zapewnić im przydzielonych żywności, jednak raz po raz coś się trafiało i rozdzielane było między członkami – albo z zarządu ziemskiego, na czele którego stał Mychajło Wietuchiw, albo z miejscowych zarządów z okolic wiejskich. W najgorszą, pierwszą zimę był to najczęściej produkt, którego ludzie w normalnych czasach nie jedzą – klej z kazeiny, dumnie nazywany kisielem; później zdarzały się dostawy kaszy, a nawet – wyjątkowo – maki. Mnie Proswita uratowała życie workiem ziaren słonecznika. Było to w drugiej, gorszej połowie pierwszej zimy, gdy nie miałem jeszcze żadnej pracy, zaś „Nowa Ukraina” nie drukowała mnie, bo nie posłuchałem rozkazu pisania zamiast „bolszewicki” – „żydo-bolszewicki”. Spuchłem już zupełnie,

\* Mychajło Hruszewski (1866–1934) – wybitny ukraiński historyk, działacz polityczny, od 1917 roku przewodniczący Centralnej Rady Ukrainy, jeden z twórców Ukraińskiej Republiki Ludowej. W latach 1918–24 na emigracji, w 1924 roku przyjechał na Ukrainę sowiecką, pracował w Kijowie w Akademii Nauk. Aresztowany w 1930 roku.

\*\* Semen Petlura (1879–1926) – ukraiński działacz polityczny, dowódca naczelny armii Ukraińskiej Republiki Ludowej, przewodniczący Dyrektoriatu URL, w 1920 roku zawarł sojusz z Józefem Piłsudskim. Po podpisaniu traktatu ryskiego przebywał w Polsce, w 1926 roku w Paryżu padł ofiarą zamachu.

\*\*\* Iwan Mazepa (1639–1709) – hetman Ukrainy Lewobrzeżnej w latach 1687–1709. Podczas wojny północnej zerwał sojusz z Piotrem I i stanął po stronie Szwecji, jednak przegrana przez Karola XII bitwa pod Połtawą przekreśliła jego plany polityczne.

\*\*\*\* *Szcze ne wmerła Ukrajina* – tytuł patriotycznego wiersza Pawła Czubynskiego (1863), niemal od samego początku funkcjonującego jako pieśń; od 1992 roku hymn państwowy Ukrainy.

droga z Rymarskiej na Sadowo-Kułykiwską, gdzie mieściła się Proswita, była dla mnie coraz większym problemem. Myślę, że bez tego worka bym nie przeżył. [...]

W połowie 1942 roku życie Charkowa zaczęło się w swojej przyfrontowej groteskowości stabilizować. Ale potem, jesienią, szczególnie zaś zimą, coraz bardziej oczywista stawała się beznadziejność niemieckiej próby podboju wschodu Europy oraz nieuchronność odwrotu Niemców i powrót sowieckiej armii i władzy. Krążyły pogłoski, że Sowietci zmienili się na lepsze, że stali się bardziej liberalni i nawet szczególnie pozytywnie odnoszą się obecnie do kultury ukraińskiej i jej działaczy. [...] Niektórzy wierzyli tym pogłoskom. [...] Co do mnie, już jesienią 1942 byłem pewien, że trzeba dostać się na Zachód, nie wiedziałem tylko – jak. [...]

Wychowałem się w tym mieście, byłem jego częścią, a ono było częścią mnie, dobrze widziałem panujące tu ubóstwo, brak kulturowej tradycji, byłem jednak świadkiem jego rozwoju w latach stołeczności [1917–34]. Każdy nowy budynek, linia tramwajowa, pojawienie się pierwszych trolejbusów i taksówek – wszystko to było moim własnym wzrastaniem. Bolesnie też przeżyłem okres zaniedbania miasta po przeniesieniu stolicy do Kijowa. Moje świadome lata minęły tutaj i moje przyszłe życie wyobrażałem sobie właśnie tu, w budynku „Salamandry”, na charkowskim uniwersytecie. Kijów mnie nie kuśił, nie lubiłem go wówczas, jego strome ulice – to w górę, to w dół – wydawały mi się nienaturalne i niedorzeczne. Poza Ukrainą nie chciałem mieszkać w ogóle, choć Leninogród jako miasto mi imponował. I oto doszło do tego, że miałem porzucić mój Charków, być może na zawsze. Nie wiedziałem jeszcze, kiedy to nastąpi, jednak dzień pożegnania – 6 lutego 1943 – zbliżał się nieuchronnie. [...]

I oto 6 lutego. 1943 rok. Ogłoszono oficjalnie ewakuację miasta. W Zarządzie Miejskim dostaję dwujęzyczne zaświadczenie, że jestem jego pracownikiem. Na ukraińskiej części widnieje podpis [przewodniczącego Zarządu] Semenienki, na niemieckiej – nieznanego mi dr. Rompla. Na uniwersytecie rzecz jest jeszcze prostsza – otrzymuję pusty druk z podpisem rektora Chomy Riabokonia, mogę wpisać tam sobie, co uważam za stosowne. Oczywiście, znaczenie obu papierków jest minimalne. Trzeba przyjść na dworzec o wyznaczonej godzinie. Rzeczy każdy może wziąć tyle, ile uniesie. [...] Największym problemem było dostanie się na dworzec. Dzieliły nas od niego dobre 2 kilometry zaśnieżonymi i bezludnymi ulicami. Z rzeczami, nawet niewieloma, nie dałbym rady dostać się tam pieszo. Jeszcze mniej realne było to w przypadku matki, która miała już 75 lat.

Komunikacja miejska nie istniała. Podziękować muszę sąsiadowi, Hurzejowi. Był on Rosjaninem, członkiem partii – i nie wiem, czy został pod okupacją niemiecką z własnego wyboru, czy po to, by pracować dla podziemia [...]. To on znalazł dla nas – niespotykana wówczas rzecz – tradycyjnego charkowskiego furmana, być może ostatniego przedstawiciela gatunku. Ów zdarł z nas niesamowite pieniądze, ale na dworzec zawiózł.

Piszę – dworzec, ale żadnego dworca już nie było. [...] Był peron, były tory – i tyle. Na peronie stał już tłum ludzi z pakunkami. Wielu z nich znałem, poczynając od Semenienki i urzędników z Zarządu Miejskiego, ale było również wielu nieznanomych. Niemcy wykazywali podziwu godną sumiennność w ewakuacji tych, którzy nie chcieli wpaść w ręce czerwonych [...]. Czy Niemcy zachowywali się tak za sprawą właściwej im systematyczności, czy też spodziewali się, że wrócą i potrzebować będą miejscowych kadr – nie wiem. Faktem jest, że pozostawili kompletowanie list ewakuacyjnych w rękach ukraińskich; i sądzę, że ci, którzy chcieli wyjechać, mieli taką możliwość.

Na peronie czekaliśmy długo. Dzień chylił się ku końcowi, dokuczał mróz, podskakiwałam i tupaliśmy nogami, klaskaliśmy w dłonie i dłońmi o ramiona. Najgorsze były jednak natrętne myśli: „A co, jeśli pociąg nie przyjedzie w ogóle? Może maszynista zdecydował się na sabotaż? Może uszkodzono gdzieś tory? Co wtedy – koniec?”.



Wreszcie w kłębach dymu ukazał się pociąg, podjechał na peron i stanął. Był to nawet nie pociąg towarowy, a pasażerski, choć oczywiście bez ogrzewania i światła. I wtedy stało się coś nieprawdopodobnego, szalonego. Pociąg nie zdążył ostatecznie się zatrzymać, gdy tłum ruszył do przodu, zbijając wielu z nóg, wciskając swoje pakunki do wagonów, rzucając się do nich samemu, zupełnie jakby nie byli to kulturalni ludzie – ci, których nazywano „świadomymi Ukraińcami” – a dzięki zwierzęta. Po minucie czy dwóch na peronie nie było już nikogo – nikogo, prócz mnie z matką i naszymi nielicznymi pakunkami, zaś wszystkie wagony były wypełnione do szczętu, tak że nie było żadnej nadziei, by dostać się do pociągu.

Nigdy nie zapomnę tych minut samotności na peronie w obawie, że oto za chwilę pociąg odjedzie – beze mnie, bez nas. Co dziwne, nie myślałem o tym, że jutro znajdę się w rękach czerwonych, że to koniec. Nie – myślałem, jak dostać się do domu, do „Salamandry”, bo zapadał wieczór i zbliżała się godzina policyjna. Było to straszne uczucie przerażenia, którego nie doświadczyłem nigdy wcześniej i rzadko kiedy później.

I wtedy, jak *deus ex machina*, nadszedł ratunek. W jednym z wagonów otworzyły się drzwi i Oksana Łyntwariowa [sekretarka Semenienki] zawołała nas, mówiąc, że jakoś się ścisną – była z matką i dwoma synami – i wezmą mnie wraz z matką. Tak się stało. Po jakimś czasie pociąg ruszył – w kierunku Łobotyń, Worożby i Bachmacza, w bardzo powolną i długą podróż. W niewiadome.

Oksana Łyntwariowa opowiadała mi potem, że inicjatywa wyszła od przedstawiciela mniejszości rosyjskiej w Zarządzie Miejskim, Olega Kulikowa.

[...] Dziś, ponad czterdzieści lat później, jak widzę ten krótki, niespełna półtoraroczny okres swojego życia? Droga na Wschód zamknęła się za nami, droga na Zachód otwarta była w teorii, w praktyce też zamknięta. Zachodu w kontaktach z Niemcami niemal nie poznałem; trochę literatury emigracyjnej, ale tylko okruciny, bez możliwości wyobrażenia sobie całości. Duchowo tkwiem w pustce i nic dziwnego, że nad moją świadomością ciążyła sowiecka frazeologia i ideologia, choć z odwróconym wartościowaniem – wciąż byłem w jej mocy. Wiedziałem, że istnieje coś innego, ale nie stałem się jeszcze tego częścią – nawet nie zobaczyłem i nie odczułem.

Jeszcze przed wkroczeniem Niemców do Charkowa wiedziałem, że ta wojna nie jest moja, że Hitler i Stalin są dla mnie takimi samymi wrogami, zaś przeczytawszy *Mein Kampf*, ostatecznie się o tym przekonałem. Innych sił w tym bezsensownym pojedynku nie widziałem. Tak, chciałem niezależnej Ukrainy, ale nie dostrzegałem żadnych szans na jej powstanie. Wydawało się, że moim zadaniem jest przeczekać, nie zostać wciągniętym w maszynę zniszczenia i śmierci, nie znaleźć się ani w sowieckim, ani w niemieckim wojsku. Było to jedyne, czego byłem pewien, co motywowało moje codzienne działania lub ich brak. Był to program tymczasowego przetrwania. Inną, doskonalszą drogę, miałem nadzieję znaleźć na Zachodzie.

W lutym 1943 Jurij Szewelow wyjechał w ramach organizowanej przez Niemców ewakuacji do Lwowa, gdzie przebywał do połowy 1944 roku. W ramach kolejnej ewakuacji dotarł w 1944 roku do Niemiec (przez Krynice, obóz przejściowy na Słowacji i obóz pracy przymusowej w Niemczech). Po zakończeniu wojny uciekł z sowieckiej strefy okupacyjnej i zamieszkał wraz z matką w Monachium, gdzie w latach 1946–49 pracował na Wolnym Uniwersytecie Ukraińskim. Aktywny uczestnik ukraińskiego życia kulturalnego i literackiego na emigracji, m.in. w latach 1945–49 współzałożyciel i członek legendarnego ruchu literackiego MUR (Mysteckijjyj Ukraïnskyj Ruch – Ukraiński Ruch Artystyczny). W 1950 roku wyjechał do Szwecji, wykładał na uniwersytecie w Lund. W latach 1952–77 wykładał w USA, gdzie w latach 1978–81 był redaktorem naczelnym emigracyjnego czasopisma „Suczasnist’”. Zmarł w 2002 roku w Nowym Jorku.

Wybrała i przełożyła z ukraińskiego  
Anna Wylegała